

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 44 (57)

WARSZAWA

SOBOTA

3 - XI - 1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

MURZYNEK Z PLACU ZGODY

(Fragment z „Wakacje i dzieci na szerokim świecie”)

Oto mamy wakacje. W domu zamkniętym na klucz zostawiliśmy nasze codzienne życie i, nie obciążeni wcale tym małym, składnym bagażem, ruszamy w świat.

W dzieciństwie bałam się pociągów. Nie dowierzałam żadnej lokomotywie. Miałam pewność, że nie liczą się ze mną. To ja musiałam liczyć się z nimi i biec zdyszana, na pierwsze ich gwizdanie.

Dzisiaj uprzejma jest dla mnie nawet ta dumna i poważna lokomotywa dalekobieżnego ekspresu. Również wagon jak najtroskliwiej stara się zastąpić mi dom, który zostaje coraz dalej za mną.

Dyskretna smużka milego światła sączy się z lampki do czytania.

— Czytasz? — pyta mnie towarzysza.

Odpowiada mi: — Nie. Szukam na mapie miasta w którym wysiadziemy za dwa dni — i w rękę ma czerwony ołówek.

Granicę przebywamy we śnie. Nie wiemy nic o żandarmach i celnikach. Świat jest błękitną kulą, gładki i dający się cały zamknąć w spragnionej dłoni.

W dwa dni potem o świecie nie podobnym do żadnego z poprzednich światów, budzimy się na szerokim, płaskim łóżku, w małym pokoiku, jak w bladoróżowej muszli.

Ze wszystkich stron perliście szumi kończą się przyplwy morza.

Balkon nasz jest jak gniazdo jaskółcze zawieszony wprost nad falami.

Stoimy na balkonie.

Świeży, silny wiatr poranny wieje od oceanu, rozdmuchuje mi włosy, kładzie sól na wargach mego towarzysza.

Słońce jeszcze nie wstalo. Wielkie, ruchliwe fale ciemnoszare obrzeżone koralową pianą, cofają się powoli ze śniadego jak mój siądek piasku.

W gęstej, mlecznej mgłę słychać tętent. Z za skalnych grzebieni wynurzają się trzy centaury. Jak odlane w metalu lśnią trzy ciemne końskie grzbiety, migają srebrem kopyta. Grzywy: kara, gnjada i bulana, wznoszą się i opadają w pędzie. Nad falującymi grzywami trzy młodzieńcze twarze pijące pęd rozchylone ustami.

To oficerowie stacjonującego w pobliżu pułku, trenują co rano w oczekiwaniu zbliżających się wyścigów.

Na ubitym falami piasku zostaje na długo ślad ich szalonej jazdy: dalekobiegnący sznur ciemnych, głębokich półksiężyców wypełnionych lusterkami wody, w której przeląga się już poranna zorza.

Właśnie o porannej zorzy ukazuje się na pustym brzegu samotny człowiek. Na plecach ma latany worek, na głowie dziurawy kapelusz z opuszczonymi krezlami, w ręku sekatory kij z gwóździem.

Idziemy za nim oczami gdy mija w dół nasz balkon i wlecz się wzdłuż plaży, która z każdą chwilą jest teraz większa i większa.

Człowiek z workiem przystaje co kilka kroków. Schyla się nad wilgotnym piaskiem, grzebie okutym kijem. Kawałki zbutwiałego drzewa, muszle, białawe resztki szybko gnijących sepii, polamane, zczerniałe żebra trzcinowych koszyków, walążające się w ru-

chliwej pianie bezpiecznie gumowe pantofle — wszystko to staje się jego łupem.

Obładowany pęcznięcym na grzbiecie skarbem, wpełzniętym na grzbiecie człowiekiem-gądzar ginie nam wreszcie z oczu, jakby wszedł prosto w niebo, które nagle stało się wyraźne, odgraniczone od wody i ziemi — niebieskie.

Za naszymi plecami, po drugiej stronie domu, weszło słońce.

Zaraz też z morza ku niebu wyszły skały. Cały podwodny kraj skal.

Luźno jest tam i gwaro. We wszystkich niewielkich zatoczkach cwałuje bokiem w różne strony liczny i różnorodny naród krabów, raz wraz kryjąc się w miękkim lesie wodorostów, lub zakopując się aż po oczy w zbawczy piasek. Jeszcze liczniejszy ród ślimaków obsiadł wilgotne spadziste zbocza, wcisnął się we wszystkie szpary i oddycha beżgłośnie.

Z głodnym piskiem śpieszy tam od ładu drapieżna gromada mew, wron i wysoko podkaszanych kobiet w przemoczonych czarnych kciokach i w białych czepcach.

Brzeg dotąd pusty, zaczyna powoli okrywać się płóciennymi namiotami. Namioty wypełniają się hałaśliwymi ludźmi, przybyszami z miasta.

Waniljowy zapach świeżo smażonych na podocznym piecyku „gofrów” miesza się z ostrym odorem morskich.

Wysuszony już do białości piasek, zakwita jaskrawymi barwami kostiumów kąpielowych. Na uczyszonych, łagodnych jak oliwa, falach, kołysze się prócz wrzaskliwego stada półnagich ludzi, milcząca gromada dziwacznych, gumowych zwierząt: błękitny iaszczur, żółte ryby, czerwony smok i kilka zielonych labędy.

Bambusowe latawce zrywają się w powietrze, strasząc płóciennymi skrzydłami mewy i gołębie.

Dorośli mężczyźni wywijają wesoło dzierżawki łopatkami, i budują z zapalem domy w piasku. A kobiety wykopawszy sobie w tym piasku jamy, przysiadły w nich i robią na drutach swetry nie podnosząc oczu z nad kosmatej wełny.

Jest dzień. Lipcowy pogodny dzień w Dinard, w St. Malo, Rochebonne, Paramé.

Po dniu pogodnym przychodzi pochmurny. Wiotkie nitki deszczu związały gęsto srebrzyste niebo z opalowym morzem. Na kremowym piasku, pogarbowanym przez wiatr w krótkie, twarde fale, rozplaszczyły się miękko namioty ciężkie od wilgoci. Leżą jak galaretowate meduzy, wyrzucone na brzeg i przysute piaskiem. Porywczy wiatr uderza w nieruchome domy, jak w odporne żagle.

Siedzimy w samym środku ciepłego, gęstego deszczu.

Przed nami na mokrym drewnianym stole stoi spryskana deszczem krapka butelka. W butelce musuje szczególnie zamknięte, pozłociste słońce.

Raz po raz podnosimy w górę grubo rżnięte szklanki i pijemy złoty cydr i coraz jaśniejszymi oczami patrzymy w deszcz — jest coraz drobniejszy.

— Już chyba nie padnie?

— A choćby padła?

Idziemy do miasta.

W porcie pachnącym smolą i oliwą, od poczywają cicho czcigodne żaglowce przybyle z dalekich połowów. Obok nich hałasują wie dyszą kuse motorówki nigdy nie syte kursów po zatoce. Nieco dalej, na mieliźnie, umiera stary wrak, któremu z mułu sterczą czarne żebra.

Młody marynarz zeszedł z pokładu świeżopomalowanego wojennego okrętu i przysiadł na kamiennym słupku przy szerokiej, śniadej „bigudence”. Dziewczyna ustrojona jest wioskową modą w czepiec wysoki jak głowa cukru i w czarny, aksaminowy kaftan.

Marynarz patrzy na ciemne, zwinnie poruszające się palce rybaczki, z pod których spadają na odświeżony, złotą nitką wyszpany fartuch, koronkowe różę i koronkowe serca. Myśli:

— Jak pięknie będzie tym pracowitym palcom w szerokich, srebrnych pierścieniach z księżycowymi kamieniami...

Już on się postara o to, niech tylko pójdą oboje pomiędzy sklepy, które się kryją w grubych, starych murach.

Przed grubymi starymi murami, pod uroczą wieżą księżniczki Anny, otoczony gawieździą kilkunastoletni wyrostek opisuje się swą siłą.

Na spoconym nagim torsie ma okręcone kilkakrotnie grube i mocno zardzewiałe łańcuchy. Chudemi, golemi rękami rozgina ogień po ogniewie. Twarz brzęknie mu z wysiłku. Okrągłe oczy nabiegły krwią, wyszły na wierzch i obracają się powoli jak u raka. Dziecinna, jeszcze gola górna warga, drży.

A jego kochanka, stara baba z umalowanymi na gniewo włosami, z fajeczką w pomarszczonych, ukarminowanych ustach, stoi obok. Potrząsa zwałami tłuszczu pod kulsą, jedwabną suknią, mówi pieprzne dowcipy i zbiera w pudełko od sardynek skąpo lejące przekłote miedziaki.

Znaczenie więcej monet łowi w swój brzękliwy bebenek młoda cyganka krocząca wąziutką uliczką z olbrzymim pawianem u boku. Cyganka przewiązana jest w gibkiej talij wąskim skórzanym pasem, do tego pasa umocowany jest łańcuch od przepaski ścisnącej muskularne biodra ponurej małpy.

Cyganka przystaje po rogach uliczek, pod drzwiami sklepów, pod daszkami straganów. Smałą lewą ręką podnosi wysoko ponad głowę bebenek i potrząsa nim tak gwałtownie, że z wycięcia ciastnego stanki wychylają się jej obie małeńkie, brunatne piersi. Prawą ręką szarpie z całych sił łańcuch, którym związana jest z pawianem.

Wtedy milczący, krępy pawian dźwiga się na tyle łapy i niechętnie, z grymasem, udaje człowieka. Zgrzyta prztem cicho białymi kłami z prawdziwie ludzką złością.

Może uda nam się ułagodzić go jakimś owocem? Owoce leżą stertami na straganach, gniotą się w koszach i w drewnianych paczkach, zalegają maty rozścielone wprost na ziemi. Chmury os i much ciągną ze wszystkich śmietników do tych broszkwiń, moreli, melonów, sliwek, jeżyn, jabłek i bananów. Silniej niż owoce pachną warzywa.

Przedzieramy się z trudem przez kędziernawe spony porów, selerów, pietruszki, majeranku, przez słomiane workoczki z wplecionymi w nie gęsto główkami czosnku i cebuli,

TREŚĆ:

- MARJAN MORELOWSKI
- WAWEL, WALLO-
- NJA I WALGIERZ
- U D A Ł Y (II)
- JAN ST. BYSTRON
- MZAB-TIDIKELT-
- H O G G A R
- MARJA JASNOZEWKA
- M A G J A,
- CHIROMANCJA
- TADEUSZ FLOREK
- NA KAZIMIERZU
- ARNOLD WILNER
- DO TECHNOKRATY
- EDWARD KOKOSZKO
- O METODĘ WALKI
- ARTYSTYCZNEJ
- J. E. SKIWSKI
- OD POWIĘ-
- DZIAŁNOŚĆ
- KAROL IRZYKOWSKI
- NAKOŁO CZYNU
- KAROL WINKLER
- W Y S T A W A
- RĘKOPISÓW
- ILUMINOWANYCH
- EWA SZELBURG-
- ZAREMBINA
- MURZYNEK
- Z PLACU ZGODY
- R E C E N Z J E
- SPRAWOZDANIA
- T O I O W O

przez plamistą fasolę, bób, karczochy i sałatomielec.

Teraz oczągasz się i chcesz zawrócić. Nie lubisz odoru i wyglądu miejsca na któreśmy wieszli. A weszliśmy w sam środek rybnego targu.

W drewnianych kadziach, w blaszanych zagrodach, w kamiennych korytach, w plastikich, trzcinowych kobiałkach, na druczianych siatkach — wśród szarych bryłek — leżą i olśniewająco białych brył lodu — leżą o kształtach tak rozmaitych, niespodziewanych i dziwacznych, jak gdyby były wymyślone we śnie — ryby.

Oto olbrzymie, jak cielaki, powleczone całe czarną skórą błyszczącą jak cerata i twardą jak rzemień, o tłuściej i czerwonej, zupełnie wółowej mące... Oto inne, równie wielkie, ale szare, rozplaszczone jak skrzydła potwornej ćmy, z ptasim dziobem a z ogonem krowy. Dwóch tegich rybaków sili się właśnie, nad podźwignięciem jednej takiej.

A tutaj, patrz, mnóstwo złotoyklowanych, prawie przezroczystych rybek. Dalej nieco większe, koloru zadymionego burzyny. Przy nich inne jeszcze, mieniące się jak perłowa masa. A także te, które są jak gdyby wypalone z najdelikatniejszej białej porcelany, malowanej w szare, błękitne i czarne desenie.

— Świeże! Świeże! Świeże! Dziś złowione!

Świeże są również pokraczne kraby gubiące ciężki, sękaty tułów w dziesiątkach bosych, patykowatych nóg, poruszających się bez spoczynienia. I świeże są najczonne narostami homary w plamistych, niebieskawych i cęglastych pancerzach, z trudem posuwające przed sobą potworny ciężar zębatych szczypców.

Drewniane ręczne wózki zagradzają i tak już ciasne przejścia. Sypią się w nich bezbarwne, martwe ciałka delikatnych krewełek i, ciężkie jak kamienie i, jak kamienie bezkształtne, muszle ostre.

W tłoku, w zgiełku, w strasliwym zaduszeniu, na wąskich skrawkach chodnika, zaśmieconych strzępami śliskich wodorostów i zmietem kawałkami cytryn, stoją przytulone do murów, eleganckie stoliki nakryte świeżymi żółtymi, kraciastymi obruskami, jednaki Rotheneuf, w Cancale, w Houle czy na Mont St. Michele.

Przy stolikach siedzą gurmanci... Na licznych talerzach ustawionych przed nimi, z zaskazującą szybkością powiększają się sterty ślimaczných skorup i pomiażdżonych rakowych pancerzy.

Syć wrażeń, znużeni krążeniem po ciasnych placzykach i krętych uliczkach, podnosimy twarze, szukając pomiędzy ciżbą szarych, lupkowych dachów, skrawka burzowego nieba i — czempredziej odwracamy spłoszone oczy. Tuż nad naszymi głowami, w lekkim powiewie wiatru, obraca się powoli na poczerwiałym sznurku wisielec.

Drewniana figurka „powieszzonego pirata” ma ręce związane na plecach, bosa nogi, pierś obnażoną i grubo, spuchnięty język wyłazający z poczerwiałych ust.

Mijamy szybko to miejsce, ale odtąd z za każdym już niemal drzewi, godzi w nas szalona broń przyczajony, wpolgłoty szuan i kiwają na nas zakrzywionymi paluchami stare, szczerbate palaczki fajek.

Nawet tak bardzo upragnioną w tej chwili przez nas niewinną szcokotę do czyszczenia butów, podaje nieprzystojnie rozkraczony djabeł, a niezliczona ilość innych ohydnych czartów tłoczy się i wydrzeżnia za szymbami po obu stronach ulicy.

Za byle franka można nabyć „na pamiętkę” jaki się chce okaz piekielnego pomiotu, wylęgły w posępnej wyobraźni domorośłych bretońskich rzeźbiarzy.

Można także oglądać je niewytworzone sztucznie przez ludzkie ręce, ale wylęzione w głębinach morza jako ryby-pily, ryby-jeże, ryby-psy, ryby-smoki... Można je spotykać na każdym kroku, wyrosłe z ziemi jako pokręcone morskimi wichrami drzewa-potwory, jako dziwaczne, na podobieństwo ludzi i zwierząt ukształtowane skały... A także w ludzkiej nas postaci ludzi kalekich i tych co mają oczy uroczone.

Złe demony bowiem, w przymierzu ze śmiercią, czyhają na rybaków w morzu, a w przymierzu z głodem, na rodziny rybackie czatują na jałowym brzegu. Otoczyły one tutaj człowieka i chcą uwięzić jego pro-

stą duszę smutkiem, który idzie na równi od morza jak i od ładu, a ciało pognebić bezpłodnością.

Oto czemu tyle kamiennych krzyży rozkłada opiekunice ramiona na wszystkich obrośniętych ostem i pokrywają drogach, wiodących do wiosek pełnych chat ponurych i ciemnych.

Po chatach czuwają nad mieszkańcami drewniane koguty bijące w skrzydła na staroświeckich zegarach. A także umieszczone za szkłem wśród kwiatów i muszelek święte Dzieciątka z wosku.

Chaty są zbudowane na kamiennej opoce i całe z szarego kamienia. Nie mają okien, albo bardzo małe, jak szpary w skale.

Młda szarolę sęczy się do czarnego wnętrza przez niskie drzwi przecięte wprost i górą odchyłone.

Nad czarnem od sadzy kamiennem paleniskiem chyboce się zawieszony na hałku wielki kocioł. Miedziana pokrywa obiecująca warzchawę i widelec wielki jak trójząb Posejdana, czyhają obok w żelaznym stojaku na tłusty ochlap baraniego mięsa pływający w zupie.

Uparty płomień, raz po raz przyduszany wiatrem, tańczy wytrwale na palenisku pod kotłem i rzuca krwawe blaski na poczerwiałe ściany.

W tem czerwonym świetle, żywo przypominającym piekielne ognie, widać wyraźnie drewnianą kożę na oparciu zydlą, jak gra pohniętą na kobzie zrobionej ze swojej własnej skóry: Hu! ha!

W kropielnicze w wezłowia rzeźbionego łoża zbrakło święconej wody. Więc stara babka kończy wiązanie sieci i wybiera się na odpust do Naszej Pani Świętej.

Pośrodku stołu pustą cynową dzbanek czeka na kawało wina i na gospodarza.

Gospodyni wdziała za czystym progami drewniane saboty zwalane błotem i gnojem, i stoi teraz w kamiennej studni obrośniętej błuszczem. Liczy owce, które wrociły ze słonego pastwiska do wodopoju.

Zółty kot czatuje przy kaluży na niefrasobliwie podskakującej psiczce. Bury pies uwiązany do pustej bełki poszczekuje na kota. Czarnobiała sroka skrzeczy z konaru strzaskanego dębu, który potężnym ramieniem otacza zagrodę.

Kogoś brak jest w tej pełnej zagrodzie. — Dzieci. Nie widzę ich tu nigdzie. Nie tarzają się w kurzu na drodze. Nie chłapią się w kalużach. Nie ciskają kamieniami. Nie grają w szkiełka. Nie płaczą. Nie śmieją się. Niema ich.

Gdzież są? Idziemy środkiem jednej, drugiej, trzeciej wioski... Mijamy miasteczka...

Te osiedla ludzkie milczące są i jakby wymarłe. Jakież to zły Szczurołap przeszedł tym krajem grając na czarnoksiężskim flecie?

Nagle dobiega nas odgłos nielicznych drobnych kroków.

Czempredziej idziemy w tę stronę:

— Dzieci!

W milczeniu, parami wychodzą z za wysokiego muru i suną drogą ku plaży drobne

figurki w czarnych fartuchach zapiętych pod szyję. Nad czarnymi kolnierzami fartuchów ostrzyżone głowy, twarze blade, starcze. Prowadzi ich wysoki, chudy mężczyzna w długiej, czarnej sukni.

Przysli za nami wysmazoną słońcem.

W czarnych, ciężkich butach, w czarnych długich fartuchach próbują biegać niezdarnie i zaraz temu dają spokój. Zbijają się w stado jak chore owce i tak trwają dotąd, póki nie usłyszą rozkazu powrotu za mury z szarego kamienia.

Ochodzimy i my. I my wracamy. Szare kamienie bretońskich osiedli zostały za nami daleko. Dokoła nas jest teraz więcej jeszcze wyższych i grubszych murów — ulice Paryża.

W ciasných, ubogich dzielnicach i na szerokich bogatych bulwarach leży ten sam suchy, letni skwar.

W pełnych kurzu strzyżonych parkach po wyprzalitych trawnikach spaceruje tłusty upał.

Między gołymi rzedami krygujących się pomników przechadza się sztywno spiekota i długo stoi nad brudnym basenem, gdzie w ugotowanej wodzie brodzi po kostki kilkoro mieszkańskich jedynaczek, ciągnąc apatycznie drewniane yachciki za mokre, kuse sznurki.

Jaskrawo uszminowane matki, zgromadzone w pobliżu na żelaznych krzeselkach, robią na drutach mocne, rodzinne trykoty. Od czasu do czasu ktoś przerywa to zajęcie, aby obdarzyć „swoje małe” pokruszonym biszkoptem, albo „sarczystym polickim.

Za parkiem, w bliższej Sekwanie pływają do góry brzuchami śnięte ryby. Wielkie mnóstwo srebrzystych, małych ryb zabitych trującej wodą, unosi się na powierzchni i spływa z wszelakim śmieciem pod ocembrowane brzegi.

Na brzegach żółknące platany udzielają trochę skąpego cienia.

Wyszedłszy z pod platanów oparliśmy się o ponęcz mostu. Przerzucamy pobieżnie dzienniki.

...Polityka... moda — podróże — sztuka — szantaże — drobne wypadki dnia i — w rubryce „Martyrologja dzieci”: „madame taka a taka, mieszkająca ze swoim kochankiem zdręczyła na śmierć dwoje swych drobnych dzieci...

...Znicierpliwiony ojciec kopnął w głowę niemowlę tak nieszczyśliwie, że zmarło przed przybyciem lekarza...

...Matka wrzuciła do Sekwany dwuletnią córeczkę.

...Chłopczyk zagłodzony na śmierć przez rodziców...

A na ostatniej kolumnie ogłoszenia sklepów z zabawkami i wrzuszającą opowieść o słodkich uczuciach jakie daje bezdzietnym małżeństwom adoptowanie dziecka.

Chimery na kościele Notre Dame śmieją się bezgłośnie. Niewidoczny zegar wydzwania południe.

Na placu Zgody w gorączkowym pośpiechu posuwa się cała szerokość jezdni, koło przy kole, niezliczona ilość taksówek, łniących karet, autobusów, tramwajów.

Byle prędzej — byle prędzej — byle prędzej — naprzód!

Nagle policjant w granatowej pelerynce skwapliwie podnosi rękę i cała ulica nieruchomieje jak zaczarowana. Wszystkie głowy zwrócone w jedną stronę, wszystkie oczy utkwiwone w jeden punkt: przez środek jezdni przebiega dziecko. Wtem dostregło na asfalcie błyszczący w słońcu okruch szkiełka. Schyliło się i próbuje uchwycić swój skarb.

Z obu stron wąskiego pasa asfaltu, jak rozdzielone czarodziejską siłą grzmiejące fale potopu, stoją powstrzymane pojazdy. Słychać przytłumione dyszenie motorów i uszywane oddech spieszących się ludzi.

Mija długa chwila. Malec wyprostował się wreszcie, podniósł do góry małym ruchem szarą piastkę w której zaciął na pochwycone szkiełko i, śmiejąc się, spojrział dokoła. „Twarzyzka dziecka była ciemna jak cynamon. Białka oczu wielkie i błękitne. Wargi grube, wywinęte i czerwone. Z pod baskijskiego bereciku wysunęły się włosy skręcone w murzyńskie runo.

Policjant wciąż jeszcze trzymał w palcach uniesioną lekko paleczkę.

Czarnokórki obywatel Republiki Francuskiej podpreł, nie spiesząc się, przez próżniony środek jezdni.

Czekano w skupieniu, aż przejdzie.

MARJA JASNOREWSKA

MAGJA, CHIROMANCJA...

Akuszerko nadziei na najwyższym piętrze!
Wlecz się wzywaj ku tobie zgnębiona psychoza,
po słowo od najgłębszych filozofij mędrześ,
po rzeczy, których nie śnił Kant ani Spinoza...

Nie śmiejmy się z wróżbitów, z ich żabich salonów,
zmąconych jak dno stawu, z sofą barwy flaszki,
gdzie bukiet z brudnych muszli i pstrych liści klonu
króluję w majolicie zdobnej w złote ważki,

gdzie muchy plamią sufit i dręczą jak ospa,
gdzie w alkowie ktoś wzdycha i ktoś się z kimś zмага:
gdzie się dzieli z alfonsiem, umęczona magja
groszami, płaconemi przez miłość i rozpacz...

TADEUSZ FLOREK

NA KAZIMIERZU

Wieczór spowaśniał nagle, czarny chałat ubrał
i głowę siwą nakrył jarmułką księżycą.
Stoi teraz odświętny i ognie zaświeca
na niebie półkulistem jak olbrzymia umbra.

Kazimierz wznosił wzrok ku gwiazdom. I naraz ze stu bram
i stu okien wybiega czarna tajemnica
przesła psalmów żarliwych rozwieszać w ulicach.
Naprawdę! most modlitwy u celu się urwał.

O Jahwe! Straszny Jahwe! Na drogi tułacze
wygnałeś z ziemi ojców Twój naród wybrany
napęliając mu serce goryczą i strachem.

Lecz wiem, że bardziej gorzka jest moja tęsknota,
kiedy tak stoję mały i w mroku zbłąkany
pod groźnym baldachimem z czerni i ze złota.

ARNOLD WILNER

DO TECHNOKRATY

...Kiedy mój odmęt poetycki wyschnie,
Za-ciekłość uczuć, święta wilgoć świata,
Prędko się zatnie twój bezkrwisty system,
Automat stanie po stu, dwustu latach.

Nie dam ci słów — rzeczy znów zaczną straszyc,
Maszyny staną — lęk poczujesz w trzewiach
I zginiesz, czekokształtny, w lesie własnych maszyn,
Wyjąć na metalowych drzewach.

KAROL IRZYKOWSKI

NA OKOŁO CZYNU

Przed wojną kwestja czynu brzmiała inaczej. Ludzkość chorowała na niewiarę w swoją zdolność do czynu, posądzając się o hamulczy, a Polska szczególnie. Po wojnie — jak ręką odjął. I rzeczywiście ręką, która władala szablą, karabinem, armatą bez wahania. Ludzkość udowodniła samej sobie, że pod tym względem nie jest z nią tak źle (czy: tak dobrze?). Ustal mit o dekadentyzmie; dekadenci bili się świetnie. Pamiętam artykuły z czasów wojny, stwierdzające, że inteligenci, że rezerwiści, starsi ludzie z wykształceniem uniwersyteckim, okazali się lepszym materiałem wojskowym, niż ludzie prości. Mózg znowu triumfował nad muskulami.

Po wojnie kwestja czynu ukształtowała się inaczej. Nie czyn wogóle, czy jakibądź, ale treść czynu stała się porządkiem dziennym. Jeżeli czynić, to co czynić? Ludzkość ziszcila minowoli krwawą utopję wojny, możeby ziszcila np. utopję socjalną? Zbudziliśmy się; jak napół jeszcze senni pobiliśmy się między sobą; oprzytomnieliśmy już, więc robmy czyn na miarę naszej siły i woli. Wszędzie się tedy nowa walka — walka o treść. Jedni chcą realizować ten, drudzy tamten ideał. A w związku z tem najcięższe podjężenie — i najwęższe hipochondria współczesna — brmi już nie: hamletyzm, lecz: obłuda; nie choroba woli lecz choroba treści.

Obie książki (*), które tu rozpatrzmy dotyczą paru odcinków tego nowego chaosu.

W dziełku Kotarbińskiego nie znajdziesz już nawet najmniejszej aluzji do tego hamletyzmu, z którym porało się przedwojenne pokolenie, u nas aż do „Wesela” Wyspiańskiego. Jest wprawdzie (w rozdziale: Obrona z dzielności) polemika z kwietyzmem i z fatalizmem, ale czysto filozoficzna. Natomiast zaraz z początku podnosi autor niewłaściwość przeciwstawiania czynu słowom. I mówi i pismo są także czynem, choć może nie tym, o który komuś w danym wypadku chodzi. Nawet antyteza czynu i myśli wydaje mi się „oklepana”. Myśli są czynem przygotowującym czyn; jeżeli zaś myśliciele nie można nazwać „człowiekiem czynu”, to tylko dlatego, że w tym zwrocie słowo „czyn” ma sens zwężony; podobnie jak np. słowo „praca” w zwrocie „świat pracy” oznaczającym ogół pracowników fizycznych.

Logicznie autor ma słuszność, ale z stanowiska kultury? To jest czegoś jednak dzieła, że przeligiuje się obok współczesnych zagadnień. Jeżeli np. mówiąc o stosunku pomiędzy czynem i pracą, powiada: „praca nie jest nic innego, jak tylko wszelki układ czynów, w którym przeważają czyny o charakterze udręki” — to przez tę konstatację, doskonalą i ścisłą, wymija to całe kulturalne i socjalne zagadnienie pracy, które np. Brzozowski starał się rozwiąć w swej „Filozofii pracy”. Właśnie tylko o tę „udrękę” chodzi; z niej wypływa społeczny charakter pracy, jej klątwa i jej twórczość. Wydaje się jakby w zwrocie nie „innego jak tylko” zawierała się jakaś mimowolna — czy rozmyślna? — ironia autora. Albo gdy zbyt jaskrawo przeciwstawia czyn bierności, wtedy ignoruje fakt, iż bierna cierpliwość, np. na torturach może być także czynem i to bohaterkim, i prócz tego ignoruje potężną rolę socjalną bierności, a więc potulnego poddawania się losowi, które jest również czynem, choć czynem ujemnym.

Metoda formalistycznych konstatacji, czyli opis struktury czynu, doprowadzona jest w tem dziełku do mistrzostwa. Rozróżnia się wytwór od dzieła, narzędzie od środka, środek od sposobu, sposób od metody, cele naczelne od podrzędnych, skuteczność od udatności, wśród warunków wewnętrznych czynu wymienia się: rolę, siłę, wiedzę i sprawność i t. d.

Traktuje się sprawę tak, jakby szło o materiały do jakiegoś słownika; raczej się re-

kapituluje niż filozofuje. Ja to rozumiem; chodzi o myślenie bez uprzedzeń i przesądzeń, o rewizję w zakresie nagich faktów, — chodzi o nowe spojrzenie, a w takim razie nie obejdzie się bez truizmów. Ale te truizmy można znieść tylko wtedy, jeżeli droga przez ich pustynię jest konieczna, by dojść do jakichś nowych rezultatów; wtedy dopiero klerk filozoficzny spełnia swoje zadanie.

Taką nowość widzę np. w rozdziale o „technicznych walorach czynu”, czyli popostru o technice czynu, — rozdziale, który zresztą wcale nie potrzebował poprzedniego formalistycznego aparatu. Chodzi o doświadczenie praktyczne ludzkości, o pewne typy sytuacji i zagadnienia praktycznych, — typy, o których autor słusznie mówi, że byłoby wzięciem zadaniem ułożyć je w całość systematyczną. To jest myśl znakomita, i tędy prowadzi droga, wprawdzie trochę wydeptana, ale tylko przegodnie, bez uświadamiania sobie ważności tej nowej dziedzin. Kotarbiński przytacza przykładowo takie problemy: jak wzrost czynu wpływa na zmianę warunków skuteczności; dalej, zasada „faktów dokonanych” ponieważ „mniej paradoksy trzymać co się ma, niż zdobywać to, czego się jeszcze nie ma”; zasada: gdzie możesz, zastępaj samo uderzenie groźbą uderzenia (tu przypominałbym jeszcze zasadę taktyczną: najlepiej sam zoniemieniem się jest cios); zasada, by możliwości zużywać nie za wczesnie, — coś w rodzaju przeciwwagi do faktów dokonanych, zasada stosowana w sejmie przez kluby będące „języczkami u wagi”. Następnie należą tu różne paradoksy życia praktycznego, np. gdy się rozmyślnie pogarsza swoją sytuację, obecna, aby stworzyć sytuację najlepszą, na jakie się zanosi; tę taktykę stosuje nie tylko plantator brazylijski, niszczący swe zapasy kawy, lecz także np. człowiek, który zrzeka się korzyści, aby ocalić honor. Do spisu tych paradoksów dołączył dawniejszą zasadę socjalistyczną: im gorzej tem lepiej.

Kotarbiński obejmuje te różne zasady, problemy, paradoksy, nazwą już przez kogoś zaproponowaną: prakseologia. Ja myślę, że ta dziedzina należy do dziedziny jeszcze obszerniejszej, którą można nazwać: wiedzą o życiu. Mieści się ona dotychczas, — w literaturze i nie jest jeszcze dostatecznie wyodrębniona. Powieściopisarze i dramaturzy robią w zakresie tej wiedzy nieustannie odkrycia. Co pewien czas dojrzeza w niej jakaś całość odrębna i oddziela się, np. socjologia, później charakterologia. Ale socjologia ma się tak do ogólnej wiedzy o życiu, jak Uranus do Neptuna.

Poruszywszy sprawę strategii i taktyki czynu, w ostatnim, najpiękniejszym rozdziale „Obrona dzielności” autor konsekwentnie przechodzi do zagadnienia: czy warto? Bo oto wśród omawianych zasad i recept praktycznych natknął się na jedno bardzo zasadnicze: cel uświata środki. Autor odrzuca tę zasadę i w tem samym od techniki czynu wkracza w kwestję nową: w etykę czynu. Zaś etyka może wymagać czegoś całkiem innego: np. żeby nie być ostrożnym, żeby być rozrutmym, żeby się zrywać, słowem — żeby być niepraktycznym.

Całkowicie na terenie etyki znalazło się dziełko J. N. Szumana „Harmonia czynu”, jednak po to, aby niespodzianie zawojuować i anektować ten teren w imię — estetyki. Autor wywodzi, że głównym źródłem społecznego kryzysu etycznego jest zbytnia surowość altruistycznego ideału chrześcijańskiego. Klamstwo jest po stronie kapitalizmu, ale i po stronie tak socjalizmu jak komunizmu. Kościół zaś — zdaniem autora — jest już nieaktualny; miał tysiąc lat czasu do odegrania swej roli, miał najspRAWniejszy w świecie aparat wpływów na serca ludzkie, co mógł zrobić, to zrobił, lecz dziś jego hasła stały się bezsilne. Popostru dlatego, że nie były oparte na naturze ludzkiej. Miłość bliźniego nie jest prawidłową dźwięnią życia, jest tylko wyjątkiem — u świętych i u bohaterów, ludzi zwykłych zaś pograża w stałej obłudzie. Egoizm jest w pewnych granicach uprawniony, tak samo radość życia. Zadne nowe instytucje czy ustroje nie

zarządzą niebezpieczeństwem; trzeba nowej idei, któraby mogła naprawdę zmienić dusze ludzkie. Iśćcie klerkowski program: zmieniać ludzi za pomocą myśli, a nie drogą okrzędną, przez instytucje!

Taką ideę upatrjuje autor — w „estetyce moralnej”. Zamiast rygoru zaświatowych ideałów — ideał ziemski. Niema ani złego ani dobrego, w znaczeniu etycznym; jest tylko piękno i brzydota, oraz harmonja i dysharmonja czynów. Ludzie wyczuliwo to oddawna i oddawna posługiwali się temi estetycznymi kryterjami w ocenie czynów; należą tej praktyce nadać sankcję teoretyczną. W wychowaniu jakże często stosuje się te kryteria: to ładne, to brzydkie! Zeromski pisał o „pięknie czynu [braci robotniczej]... Należy tylko iść w tym kierunku energicznie, zmienić odpowiednio metody wychowawcze, zakładać specjalne szkoły (a więc przecież — instytucje!)...

Szkoda, że autor teorii swojej nie rozwinął, pozostawił ją w stanie szkicu. Mógłby na korzyść swoją przytoczyć aforyzmy Wilde'a, salonowego socjalisty; zwłaszcza zaś w dziele Coudenhova Kalergiego „Ethik und Hyperethik” znalazłby sporo argumentów dla siebie. Coudenhove, apostoł Paneuropu, nie zaprzecza postulatów etyki, ale ponad nie stawia ideały takie jak szlachectwo duszy, człowiek honoru, człowiek ambicji, dżentelman!

Mnie się ta cała teoria wydaje mylną. Altruizm nie jest ideałem zaświatowym, lecz ugruntowany jest w naturze ludzkiej. Określił: ładny, brzydki, w ocenach etycznych używa się tylko metaforycznie; tak samo jak, viceversa mówi się np. ten poemat to brodnia. I dalej: piękno i brzydota jako kryteria estetyczne są przestarzałe, wszak wydobywano już „piękno” to znaczy wrażenie, wzruszenie estetyczne, z rzeczy brzydkich. Tak samo jest z harmonją — dziś, w erze muzyki modernistycznej. W swoich zastosowaniach zaś i przykładach jest autor wprost nieszczyśliwy. Np. wojnę i rewolucję uważa za sprawę nieharmonijną i dlatego je potępia, — gdy właśnie dotychczasowy instykt ludzki, na który autor kiedyindziej się powołuje, — określał te sprawy jako piękne. Dzieje Aleksandra Wielkiego ocenia po filistersku i tę ocenę dla szkół zaleca: jak krucha i niepewna jest świetność człowieka, opierająca się o brutalną siłę fizyczną. O Fryderyku Wielkim mówi, że jego talent był nieszczyśliwym dla Prus; dlaczego? Ponieważ doprowadził do dzieła nietrwałego, zagarnięta przez Polskę oderwała się po wojnie „światowej. No, ale przez 150 lat można było ją wyzyskiwać, to ładny kawał czasu. Krzywdą — powiada — wzmaga siły krzywdzo-

nych! Eje, to się tak tylko mówi, gdy się jest pod spodem, — aby się pocieszyć, ale zresztą... biada zwyciężonym. To nie historia, to historyjki dla grzesznych dzieci.

Ale to jedno jest prawdą, że ogromna większość czynów rozgrywa się dziś poza obrębem hasel chrześcijańskich. Ostatni ich apostoł, Schopenhauer, twierdził, że tylko kwestja miłości bliźniego należy do etyki, a jeżeli się kto np. upije, to jest to jego prywatna sprawa, która nic z etyką nie ma wspólnego. Dziś nikity się na to nie zgodził. Kto się upija, powiedzielibyśmy, ten krzywdzi społeczeństwo, bo rujnuje przydatną dla społeczeństwa jednostkę; a ponadto krzywdzi tego najbliższego bliźniego, którym jest on sam. Przecież nawet chrześcijanin każe swego bliźniego kochać tylko tak jak siebie samego, — a czy ludzie naprawdę umięją kochać siebie samych? Zaspokojenie swoich namiętności, to nie jest jeszcze prawdziwym egoizmem. W dzisiejszych czasach wyraża się coraz bardziej ideał innego egoizmu, według którego człowiek ma traktować siebie samego jako coś poruczonego mu w dzierżawę, — ma odegrać swoją rolę w życiu, ale nie spartaczyć jej. Ten nowocześnie dopięty charakterowy jest czes bodaj silniejszy od zwykłego altruizmu — altruizm dostarczać ma tylko materiału i tematu do czynów. Coudenhovskia „hiperetyka”, lojalność względem samego siebie, ambicja nie będąca pychą, — to są te nowe bodźce, które miałyby przewyciężyć typ egoizmu spopolitego. I nawet Schopenhauer, gdy się zastanawiał nad kwestją samobójstwa, ostatecznie także rozstrzygnął ją w duchu ambicji.

W tym dopiero związku zsumanowska zasada harmonji nabrałaby nowego znaczenia; nie jako harmonja estetyczna, lecz jako harmonja z samym sobą. Lub, jeżeli estetyczna, to w sensie twórczym; wyrzuty sumienia płynęłyby z trzech źródeł: etycznego, estetycznego i logicznego, i nazywałyby się może: zmarnowaniem własnego jednorozowego dramatu życiowego przez tego dramaturga, reżysera i aktora, którym jest każdy człowiek dla siebie samego i dla teatru świata.

W każdym razie dotychczasowa kazuistyczna chrześcijańska już nie wystarczy, ani dekalog. Lista „możliwych „grzechów” rozszerzyła się tak niezmiernie, że etykę chrześcijańską można by nazwać niemal — etyką ulatwioną. Symptomatyczny jest fakt, że podobno księża katolicy uczą się posługiwać freudyzmem, — to pogłębia spowiedź. Na odwrót, Brzozowski w ostatnich latach swego życia marzył o tem, aby się stać czesem w rodzaju kapłana świeckiego.

I znowu nowa wiedza o życiu będzie musiała odpowiedzieć na pytanie: co? Ta wiedza, zawarta dotychczas głównie w pracy literatów i filozofów, obejmuje nie tylko prakseologię, technikę czynów, lecz i nową teologię, to jest wiedzę o celach.

NA SCENACH STOLICY

„Rozbitki” — komedia w 4-ach aktach Józefa Bliżńskiego. Reżyserja Aleksandra Wegierki. Premiera w Teatrze Narodowym.

Dobrze się stało, że sięgnięto po ten utwór Bliżńskiego. Jest niewątpliwie najlepszy w jego dorobku i jednym z lepszych w literaturze komedijowej XIX w.

Bliżński nie był żadnym kaznodzieją, mentorem czy doktrynerem. Epoka pozytywistyczna naczuła raczej jego zmysł obserwacyjny, raczej zbliżyła do ówczesnego realizmu życiowego, niż natchnęła jakąś programową postawą wobec rzeczywistości. Pod tym względem autor „Damazego” — choć pisarz niewielkiej potencji twórczej — artystycznie bardziej jest „bezinteresowny”, niż wielu jego rówieśników.

Nie walczył ze współczesnym mu światem, nie wysłał się, aby go przerobić; po prostu go odzwiercał. I to raz jeszcze okazuje się, że prosta i szczerza, pozbawiona prentensjonalnej dydaktyki postawa więcej daje efektu, i silniej przemawia, niż jakakolwiek pryncypialna tendencja.

Utwór jest obrazem obyczajów magnackiego ziemianstwa, na tle ruiny materialnej; jednocześnie jednak przedstawia wzrost elementu mafiozeskiego wraz z całym aparatem fałszywych apetytów typowego

parweniustwo. Malowidło to oddane zostało z taką plastyką, z takim znawstwem środowiska i typów, że dobroduszy skądinąd talent Bliżńskiego pali się w „Rozbitkach” najrzetelniejszą satyrą komedjową.

Miejscami naiwne podana prawda życia w tych czasach, odsłoniła pod piórem Bliżńskiego swoje kulisy i ukazała całą postawę etycznej dekadencji „czołowych” arystokratycznych warstw.

Widmo bankructwa i nędzy alarmuje i degraduje nie tylko starych, zramolanych sybarytów, lecz i młode „romantyczne” panienki. Przedtem dymozony takie śniły o bohaterach, teraz wmarzniętym królówcem może być nawet cham, byle z grubo wypchanym portfelem. Jest rzeczą zamienną bezsilny stosunek autora do bohatera bzułki. Nie zostawia na nich suchej nitki. Reklamowane przy każdej okazji świetne tradycje Czarnoskalskich sprowadzają się do żądzy używania, a gdy brak już potemu środków — bodaj do pasyzytowania. Cnota staje się beczelnie fałszowany polor form, jako jedyna jeszcze legitymacja wyższej sfery. Poza tem zdolni są do wszystkiego. Naciągają kogo się da, wyzyskują z zimną krwią cudzą głupotę i próżność, stają się handlarzami i rajfurami własnych dzieci, go-

*) Tadeusz Kotarbiński: Czyn. Biblioteczka filozoficzna 6. Lwów. Polskie Towarzystwo Filozoficzne 1934. — J. N. Szuman: Harmonja czynu, zarys nowej etyki. Poznań 1934. Nakładem autora.)

towi do najędźniejszego służalstwa i poniżenia — byle się grać próżniaczko w blasku pieniądza. Cóż za świetne typy — taki Czarnoskalski, jego żona, a zwłaszcza wspaniały picieciarz, wyjadacz i wyga — hr. Kotwicz. Jakież pokłady lokajstwa odnalazł w tej nowej odmianie Papkina Bliziński!

Aż nową z drugiej strony świat dorobkiewiczów, którego pysznym wcieleniem jest taki Dziendzięziński. Komizm tej postaci jaskrawo odcina sympatyczną dobroduszością od jadowitych portretów arystokracji. Działal tu niewątpliwie wpływ Moljerowskiego Jourdain'a, choć swoistość typu znas komicie uzasadniona jest warunkami „lokalnej psychologii”.

Przedstawienie „Rozbitków” wypadło do skonałe. Zasługa to w pierwszym rzędzie Al. Węgielki, który już w „Klubie kawalerów” dał miarę wycucia stylu dawnego komedjo pisarstwa polskiego. Jeżeli jednak utwor Bauluckiego został odpowiednio wystylizowany, to reżyserja i inscenizacja „Rozbitków” po-

zła całkiem słusnie po linii ekspresji realistycznej. Wykonanie utworu pełne humoru.

Przymierzając Zelwerowicz. Dziendzięziński w jego interpretacji — to była prawdziwa beczka śmiechu. Artysta przypomniał najświetniejszą epokę swego wielkiego talentu, zwłaszcza jego piarwiastków komicznych. Krecja pierwszorządza. Z wytrawnym kunsztem odegrał rolę Kotwicza Junosza-Stepowski. Jedno tylko mielibyśmy do zarzucenia — że nazbyt przerysował postać. Był zanadto ponury i zewnętrznie odpychający. Z brawurą odegrał Strasz Leszczyński; miał w sobie nieklamną krwistość i charakterystyczną wulgarność. Role zakonanych panien odegrały z wdziękiem pp. Swierczewska i Lindorffówna; młodych panów — Roland i Pawłowski. Pyszną charakterystyczną była niezawodna p. Buczyńska, historyczną mamę Czarnoskalską odtworzyła p. Rotterowa. Wreszcie parę chłopczką z dużym zacięciem sprezentowali p. Nivińska i p. Dominiak. rtm.

Zresztą, bądźmy sprawiedliwi. Warszawski regionalizm p. Slonimskiego ma swój wdzięk (czy nie dobrze byłoby zmienić tytuł jego feljetonów z „Kroniki Tygodniowej” na „Feljeton regionalny?”) i gdyby nie wieczne dzikie pretensje każdódziejście autora, czytelnicy się jego feljetyony „od Semadeni” dla niezłych czasem kawałów z prawdziwym zadowoleniem.

Jeszcze wyraźniejszym atakiem ostrej megalomanji tegoż p. Slonimskiego w tej samej „Kronice tygodniowej” jest obrona „Wiadomości literackich” przed rzekomym zarzutem atakowania teatrów z pobudek politycznych. „W artykule wstępnym — pisze p. Slonimski, omawiając pierwszy numer miesięcznika „Teatr” — p. Zawistowski wmawia nam, że ataki na T. K. K. [T. wynikają z pobudek politycznych”. Ale skądże! Gdzie to p. Slo-

nimski wyczytał, aby „Wiadomości literackie” były kiedykolwiek i w jakiegokolwiek sprawie pomawiane o pobudki polityczne. P. Zawistowski wprawdzie istotnie pisał o prasie opozycyjnej, która zaciekle atakowała teatry T. K. K. T. za urojone przewiny, ale wzięcie tego zarzutu do siebie przez „Wiadomości” dowodzi zaiste nielada megalomanji. Oczywiście, że pobudki „Wiadomości” w tej sprawie były odmiennego gatunku.

Kolaboracja „Wiadomości” z „A. B. C.” w dziedzinie poglądów na sztukę, oraz obecna „dwutorowość” satyry tych pism, posiadających w tych działach już zupełnie identycznych współpracowników, dowodzi, że z czasem może nastąpić fuzja tych dwu wydawnictw — a wówczas dopiero „Wiadomości” będą mogły się zaliczyć do poważnych pism „politycznych” i „opozycyjnych”. J.

LISTY DO REDAKCJI

OSWIADCZENIE

Shanowny Panie Redaktorze!
P. Antoni Slonimski w swojej ostatniej Kronice Tygodniowej w „Wiadomościach Literackich” powiedział, że jestem: **stary Piłsudczyk**. Oświadczam publicznie, że pierwsza połowa tej informacji jest niestety prawdziwa, a druga niestety nieprawdziwa. **Karol Irzykowski.**

UZUPELNIENIE

Shanowny Panie Redaktorze!
Artykuł p. Kazimierza Wyki „Niecący Norwid i całkowita kompromitacja” (Nr. 42 „Pionu”), z którego stanowiskiem, zarówno w pochwałę pomysłowi zebrania wreszcie dzieł Norwida jak i w naganie realizacji tego pomysłu, niepodobna się nie zgodzić, zawiera spis opuszczonych przez prof. Piniego utworów w wydaniu, pretendującym do miana zupełnego (z punktu widzenia dzisiejszego

stanu poszukiwań). Spis ten możnaby pomnożyć przez bardziej skrupulatne porównania choćby z reedycjami bieżącego stulecia; nawet nie przystępując do tego porównania, zauważyłem brak jednego z arcydzieł Norwidowskich, któremu i prof. Pini nie będzie zapewne mógł zarzucić niejasności ani zaniedbania artystycznego. Jest to wiersz „Sierocstwo” („Mówią że ludzkość bogaci się co wiek”) z cyklu „Vade mecum”, największa, najbardziej wszechstronna i najbardziej przekonująca krytyka cywilizacji i najwspanialsze w dyskretnym wyrazie wyznanie wiary. Wiersz ten został umieszczony w jednym z podstawowych zbiorów poezji Norwida — w VIII t. „Chimery” i powtórzony w „Antologii liryki polskiej” W. Borowego, więc nie niedostępność źródła ale tylko niedbale pośpiech, dyktowany pewnie przez względy handlowe, i karygodna nonszalancja wydawcy wyjaśnia jego opuszczenie. **K. W. Zawadzki.**

TO I OWO

„SKROMNA DZIAŁALNOŚĆ”

Pan Slonimski w swej Kronice Tygodniowej (Nr. 44 „Wiadomości Literackich”) wśród innych dziwnych rzeczy powiada, że niemal cała działalność „Pionu” „polega na napastowaniu Boy'a” i jego, p. Slonimskiego, „skromnej działalności”. — Co znaczy „skromnej”? — Jeżeli p. Slonimski określa ją swą działalnością literacką jako „skromną” ma na myśli jej ubóstwo duchowe, to zgodna. Jeśli jednak „skromność” ma tu oznaczać osobistą zaletę autora „Kroniki”, to trudno się zgodzić z p. Slonimskim. Przeciwnie, że wszystkiego co pisze przebijają niesłychane i niczem nie usprawiedliwione zarozumiałstwo. Przepuszczając — zdaje się zupełnie poważnie — że głównym zadaniem literckiego tygodnika jest zwalczanie feljetonisty z „Wiadomości” — może tylko patologiczny zarozumialec, i to dość ponury.

Jeszcze postępniej brzmi inna rewelacja ostatniej „Kroniki”. Ze mianowicie „Pion” zwalcza Boya, aby go niby diabła wyśpiewać z Sanacji.

Smutny to widok, kiedy pisarz programowo zwalczający kofuństwo, sam poczuwa się do takiej obrzydliwej dulszczyzny polemicznej, że obiektywny, krytyczny i pełen zresztą uznania dla talentu pisarza nasz stosunek do Boya określa jako „napastowanie” i „wyśpiewanie”. To jest jednak rozumowanie „od Semadeni”, jakby powiedział Krukowski.

Boy jest pisarzem europejskim, a p. Tadeusz Zeleni europejszczykiem, i śmiemy przypuszczać, że to monotonne okadzanie, któremu co częściej do nudności „Wiadomości Literackie” musiało mu dawno obrzydzieć — jemu tak nienawidzaczemu brzoźnictwa! — i woli chyba przeczytać o sobie artykuł krytyczny, niż galówkowe, pralinkowe i laurkowe recenzynki, które mi go „czczą” „Wiadomości”.

Wogóle, działalność publicystyczna p. Slonimskiego jest „od Semadeni”. Ten wielki internacjonal, europejszczyk, globista, któremu wszędzie ciasno, któremu wszystko w kraju zalatuje prowincją, czuje się dopiero na pewnych nogach, kiedy może mówić o swoim podwórku, kiedy dorwie się do ploteczki,

uszczypliwostek, szczegółików, insynuacyjek, intryżek. I to tych „lokalnych” warszawskich, które wiodą swój ród od przedwojennej „Muchy”. Pan Slonimski ze swoim europejskim gustem naturalnie gardzi „Muchą”. Niewdzięczny! Bo czemuż jest jego warszawskie kawalarstwo, któremu daremnie próbuje nadać ton „wszechludzki”, jeśli nie „Muchą” polakierowaną „kubistycznie”, na modern, muchą, która się naczytała (czy naprawdę czytała?) Wellsa. A kiedy nasz globista próbuje powiedzieć coś „globowego”, co już wykracza poza Warszawę, to kłapa, nuda, komunał, gazeciarski frazes.

ŚWIAT I ŻYCIE

ZARYS ENCYKLOPEDYCZNY WSPÓŁCZESNEJ WIEDZY I KULTURY

Opracowany przy współudziale najwybitniejszych uczonych i specjalistów polskich

Redaktor naczelny Dr ZYGMUNT LEMPICKI, prof. Uniw. Warsz.

Redakcja: Dr ANNA CHOROWICZOWA

Najważniejsze problemy życia współczesnego

polityczne, społeczne, gospodarcze

Najglówniejsze wyniki wiedzy i nauki

przyroda i technika

Najżywotniejsze prądy duchowe chwili bieżącej

w filozofii, sztuce i literaturze

Najwybitniejsi przedstawiciele pióra

i życia umysłowego w Polsce

Najistotniejsze zagadnienia kultury polojennej

w przystępnym oświetleniu

zawiera
Tom I—IV wydawnictwa
Zwięzłe informacje i krótkie wiadomości pada
Tom V wydawnictwa

ILUSTRACJE :: PLANSZE :: RYSUNKI

Dotychczas ukazywały się, między innymi, następujące artykuły: Ambasador, Ameryka, Antarktyda, Artylerja, Archeologia, Atom, Atom, Bakterie, Banki, Barwniki, Beton, Biblia, Biegi, Bolszewizm, Budżet, Chemia, Ustrojów żywych, Celowość, Chłop, Chrześcijaństwo, Darwinizm, Demokracja, Drukarstwo, Drzewo i przemysł drzewny, Dyktatura, Dziennikarz, Elektron, Estetyka, Etyka, Faszyzm, Fizjologia, Fotoelektryczność, Futerkowe zwierzęta, Giełda, Gleba, Górnictwo, Gruczoły, Handel, Hormony, Indie, Izotopy.

Dotychczas pisali na łamach encyklopedji między innymi: Prof. dr K. Ajdukiewicz, Prof. dr S. Baley, Prof. dr Fr. Bujak, Prof. dr J. Czekanowski, Doc. dr M. Hartleb, Prof. dr K. Kączkowski, Prof. dr ks. A. Klaweł, Prof. dr B. Koskowski, Prof. dr T. Marchlewski, Prof. dr J. Muszkowski, Prof. dr K. Nitsch, J. Parandowski, Prof. dr St. Pawłowski, Prof. dr St. Poniatowski, Prof. dr Przedziecki, Prof. dr E. Rost, Prof. dr ks. F. Roslaniec, Prof. dr E. Rybka, Prof. dr S. Schayer, Prof. dr T. Sinko, Doc. dr P. Slonimski, Prof. dr L. Wertenstein.

Warunki prenumeraty:

Miesięcznie (1 zeszyt) zł. 4.80, półrocznie (5 zeszytów) zł. 23.50, rocznie (10 zeszytów, 1 tom) zł. 45.15, 1 tom oprawny (10 zeszytów) zł. 51.15.

Nakład Instytutu Wydawniczego
S. A. KSIĄZNIKA-ATLAS
Lwów, Czarnieckiego 12. Warszawa, Nowy Świat 59.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T. „KURJER KSIĘGARSKI”.

P. T.

KSIĄZNIKA-ATLAS S. A.

Warszawa, Nowy-Świat 59

Proszę nadesłać prospekt encyklopedji Świat i Życie.

Imię i nazwisko

Dokładny adres

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24.00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18.19.

Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21.44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10